



WOJENNY SEKRET

**Porwane dziecko.
Mroczna wojenna
tajemnica.**

MARIUS GABRIEL

FILIA

MARIUS GABRIEL

WOJENNY SEKRET

Przełożyła
Malwina Stopyra

FILIA

Dla Emmy i Sabriny

PROLOG

Oslo, Norwegia, 1945

Teraz kiedy wojna dobiegła końca, żyła w ukryciu i samotnie. Nawet urodziła samodzielnie – a przynajmniej próbowała. Jej krzyki przyciągnęły mieszkającą piętro wyżej starą kobietę, która przykuśtykała na dół bez zaproszenia i z ponurą miną pomogła jej przejść przez poród. Z miną kogoś wykonującego odrażające zadanie stara kobieta przecięła pępowinę i wepchnęła lepkie dziecko w ramiona Liv, a potem wyszła. Żadna nie powiedziała ani słowa. Kobieta już nie wróciła.

Została sama z dzieckiem. Nigdy się nie spodziewała, że będzie musiała się nim zająć. Teraz nie miała wyboru. Utknęła z nim.

Wolała nazywać je w myślach *ono*. Ale to była dziewczynka. Miała nadzieję na chłopca. To kolejna rzecz w ostatnim czasie, która nie poszła po jej myśli.

Po porodzie razem z dzieckiem spała przez kilka godzin w poplamionej krwi, wymiętej pościeli. Oboje byli wykończeni. Dziecko obudziło się pierwsze. Wierciło się i kwiliło, co wyrwało Liv z jej głębokiego, mrocznego snu. Długo wpatrywała się w to dziwne, czerwone, pomarszczone stworzenie, które sprowadziła na ten świat. Nie chciała go. Nie chciała tego wszystkiego.

Dziecko zaczęło płakać. Jej ciało zareagowało natychmiastowo. Macica skurczyła się spazmatycznie. Obawiała się konieczności

zrobienia tego, ale naprawdę nie miała wyjścia. Podniosła dziecko i przystawiła je do piersi.

Wydawało się nie wiedzieć, co ma robić. To było frustrujące. Ciągłe płakało, torturując ją niemiłosiernie.

– No dalej – syknęła do wiercącego się, ślepego stworzenia. – Ty głupia istoto! Dalej! Ty głupia, głupia istoto!

Ze złością wycisnęła trochę mleka do krzyczących, bezzębnych ust. Zapuchnięte oczy dziecka otworzyły się z zaskoczenia. Miało komiczną twarz, badało smak językiem i zapomniało o płaczu. Młasnęło ustami. W końcu zaczęło ssać, agresywnie i niezdarnie, znęcając się nad delikatną skórą.

Pierwsze minuty były agonią. Wytrzymała z zaciśniętymi zębami, pot wystąpił jej na twarz i spłynął po szyi. Chciała szlochać za życiem, które straciła, i niedolą, która teraz stała się jej udziałem.

Ale gdy poczuła, że ilość mleka w piersi powoli się zmniejsza, nadeszła ulga. Nieznośne uczucie opuchnięcia ustępowało. Była zdumiona żarłocznością dziecka. Piło tak zachłannie, że zakrztusiło się mlekiem, więc zaczęło pluć i kaszleć. Liv wykorzystała przerwę i przyłożyła je do drugiej piersi. Znowu zabrało się do pracy, a powolne zmniejszenie napięcia z tej strony okazało się jej nagrodą.

Nadal była wyczerpana po porodzie. Pozwoliła, by głowa jej opadła, i zamknęła oczy. Senne znużenie rozeszło się po jej ciele. Co dziwne, ssanie niemowlęcia przyniosło jej dziwny spokój. I wtedy zasnęła.

Dziecko obudziło się o trzeciej nad ranem. Wyczerpana, zmusiła się, żeby nagrzać trochę wody na kuchence, umyła niemowlę i własne sfatygowane ciało na tyle, na ile mogła. Ubrała dziecko w maleńkie śpioszki, które ktoś dla niego wydziergał. Dzięki temu wyglądało bardziej ludzko.

Była tu uwięziona z tym ciężarem. Nie miała wyjścia, jak tylko wykorzystać tę sytuację. Ułożyła się na poduszkach do karmienia.

Tym razem poszło dużo sprawniej. Obie wiedziały, co robić. Ulga przyniosła nowe odczucia, lepsze. Swego rodzaju zadowolenie. Akceptację jej poświęcenia wobec tego wymagającego, nieznajomego stworzenia, które wydostało się z jej ciała.

W słabym świetle przyglądała się linii jego policzka. Jakimś cudem buźka wypełniła się w ciągu ostatnich godzin. Wyglądało bardziej jak dziecko. A mniej niepokojąco jak kosmita.

Jej wzrok przeniósł się na maleńkie rączki, które otwierały się i zamykały, spoczywając na jej piersi. Zauważyła idealne, maleńkie paznokcie. Miały kształt półksiężyca jak jej własne? Było za ciemno, żeby zauważyć.

Uszka dziecka też były idealne. Jak muszelki świeżo wyrzucone na brzeg z wielkiego, przepastnego oceanu. Miało gęste, złociste włoski. A skóra, która na początku prawie przypominała gadzią, teraz była miękka i pokryta meshkiem.

Liv poczuła przyływ dumy. Jakikolwiek okropny błąd popełniła, przynajmniej stworzyła dobrze wyglądające dziecko.

Kilka następnych karmień było już przyjemnością. A potem czymś bardziej złożonym. Nadal bolało, ale teraz ból Liv nie przeszkadzał. Nauczyła się jakoś go wyłączać. Był uczciwą zapłatą za inne uczucia, które nadeszły. Takie, których nigdy wcześniej nie знаła. Swego rodzaju rozkosz, która odgradzała ją od całego bólu jej życia. Bogactwo, które wykraczało poza stracone materialne dobra.

Dziecko zmieniało się prawie z godziny na godzinę. Stało się piękne. Dni mijały, a Liv nauczyła się cieszyć córką. Odkryła coś nowego. Relację. Karmienie jej, mycie, albo po prostu wpatrywanie się w nią, wypełniało każdy kawałek świata Liv. Nawet zaczęła zwracać się do dziecka imieniem, które dla niego wybrała, szeptała je, kiedy mała ssała sennie.

Teraz wiedziała, że mleko, które z niej płynęło, było bolesnym cudem, czymś magicznym. Nie, nie magicznym. Było czymś boskim.

To dziwne słowo w odniesieniu do kobiety, która od dzieciństwa nie była pobożna. Ale wszystko w Liv się zmieniło. Już nie była taka sama.

Istniał jednak pewien narastający problem.

Chociaż dziecko ssało jej mleko, samej Liv kończyło się jedzenie.

Miała w pokoju trochę zapasów, które przywiozła, kiedy przyjechała do Oslo, ale już się skończyły i wiedziała, że niedługo będzie musiała wyjść. Niebezpieczeństwo czaiło się wszędzie, ale nie mogła przecież umrzeć z głodu w tym pustym pokoju, zwłaszcza że teraz miała dziecko.

Musiała zmierzyć się ze światem.

Zbierając włosy pod szalem, zauważyła, że dłonie zaczęły jej drżeć. Radość macierzyństwa stała się przyprawiającym o mdłości lękiem.

Owinęła dziecko w koc i umieściła je w zgięciu ramienia. Niemowlę było śpiące, opadały mu powieki, a okrągłe policzki się zarumieniły. Liv wyszła z pokoju i cicho zeszła po schodach. W ostatniej chwili nerwy prawie ją zawiodły. Zerknęła przez brudną szybę w drzwiach budynku i zobaczyła rozmyte postaci przechodniów. Jej serce zaczęło bić mocniej. Przewyciężenie strachu było trudne. Tylko głód mógł wyciągnąć ją na te ulice.

Ale wtedy, jak wiele razy w życiu, odezwała się jej duma. Dlaczego miałaby bać się ludzi, którymi gardziła? To było poniżej jej godności. Strach zniknął w mgnieniu oka. Wyprostowała się i zdjęła szalik z włosów, uwalniając złociste fale. Niech na nią patrz, niech jej nienawidzą. Chętnie powita ich nienawiść.

Liv wyłoniła się śmiało, z dzieckiem w ramionach, nie raczyła nawet rozejrzeć się po ulicy. To była niebezpieczna część Oslo, w pobliżu doków, niektóre miejsca nadal nosiły ślady wojny. Okolica nigdy nie była spokojna, nawet w najlepszych czasach. Teraz stała się ponura i odpychająca.

Sklepy znajdowały się dziesięć minut drogi stąd. Ruszyła z wysoko uniesioną głową i wyprostowanymi plecami. Miała pieniądze,

wystarczająco, żeby wytrzymać kilka tygodni. Potem – cóż, będzie musiała jakoś sobie poradzić. Nie było już udogodnień, którymi kiedyś się cieszyła jako swoim suwerennym prawem. Ale wiedziała, że przetrwa, jak zawsze. Przetrwa dla swojego dziecka.

Słyszała, że w sklepach w Oslo nie było już mięsa. Zamierzała kupić to, co mieli, nawet suszoną rybę, jeśli będzie trzeba, chociaż ich nie znosiła. Do tego trochę warzyw, jeśli jakieś będą. Jeśli nie byłoby chleba, kupi mąkę i ziemniaki, żeby zrobić *lomper* na małej kuchence w pokoju. Była tak głodna, że na samą myśl o gorących plackach ziemniaczanych ślinka napłynęła jej do ust. Produkowanie mleka dla dziecka sprawiło, że Liv stała się wygłodniała.

Przyspieszyła kroku, mijając oleistą wodę rozbijającą się o doki, magazyny, w których brudne dzieci polowały na resztki do zjedzenia albo sprzedania. Wojna pozostawiła za sobą głód.

Z początku zignorowała kroki za sobą. Kiedy stały się bardziej nagłące, odwróciła się, żeby sprawdzić, kto to. Zobaczyła wynędzniałą, małą kobietę, która zatrzymała się i wyglądała na przerażoną, że została zauważona. Było coś znajomego w jej wychudzonej twarzy, chociaż Liv nie potrafiła jeszcze jej dokładnie skojarzyć. Liv wpatrywała się żarliwie w kobietę, aż ta odwróciła się i odeszła czym prędzej jak wystraszona mysz.

Liv wiedziała, że ludzie się w nią wpatrywali, ale to już jej nie przerażało. Jej postawa, piękno, ubrania, sposób noszenia się, wszystko to ją wyróżniało. Oczywiście motłoch nienawidził takich ludzi – tych, którzy urodzili się, żeby rządzić.

Nie było łatwo rządzić. Trzeba było mieć odwagę, by wznieść się ponad ograniczoną moralność. Trzeba było pojmować to, co szlachetne i piękne, nawet kiedy ohydni księża i nędzni urzędnicy tego zabraniali. Trzeba było wykazać się odwagą. Trzeba było rzucać wyzwania, kiedy wszystko wydawało się stracone.

Widziała już sklepy na końcu ulicy – a także kolejkę ludzi tłoczących się przed wejściem. Zaklęła w duchu. Nienawidziła czekać

w kolejce na cokolwiek. Robienie czegoś takiego było uwłaczające. Zawróciła, gdyby nie potrzebowała tak desperacko jedzenia.

Usłyszała za sobą ciche głosy i spojrzała przez ramię. Z irytacją stwierdziła, że mała, niechlujna kobieta wróciła. I teraz nie była sama. Przyprowadziła z sobą dwie inne kobiety, bezbarwne tak jak ona, z takimi samymi wychudzonymi twarzami i wygłodniałymi oczami. Liv spiorunowała je wzrokiem. Ale tym razem mała kobieta nie cofnęła się przed zajadłym spojrzeniem. Zerknęła na nią prowokująco.

– To ona – powiedziała do swoich towarzyszek. – Wiedziałam. To ona!

I teraz Liv rozpoznała, kim była kobieta – jedną ze sprzątaczek z Jorundarholt. Pokojówką, która czyściła jej podłogi. Imię kobiety wciąż jej uciekało, ale Liv pamiętała ją jako płaczliwe stworzenie, którego służalczość ukrywała mrukliwy charakter.

– Trzymaj się ode mnie z daleka – syknęła Liv. Przycisnęła dziecko do piersi i tupnęła nogą.

Kobieta wzdrygnęła się, ale nie uciekła.

– Jak śmiesz za mną chodzić? – zapytała Liv.

– Jak śmiesz pokazywać twarz na ulicy? – odparowała niechlujna kobieta.

– Powinnaś wisieć na latarni! – odezwała się jedna z pozostałych ochrypłym głosem. Jej zaczerwienione oczy wypełniała nienawiść. – Razem z tym bachorem, którego trzymasz w ramionach! – Cała trójka zbliżyła się, przewaga liczebna je rozzuchwiała.

Liv czuła, że to poniżej jej godności, by sprzeczać się z takimi śmieciami na ulicy. Ale była w rozterce. Nie mogła pójść do sklepu z tymi trzema wiedźmami na doczepkę. Zrobiłyby scenę. Należało się ich pozbyć. Musiałyby jednak wrócić do domu głodna i spróbować ponownie później, może o zmroku, kiedy nie zostałyby tak łatwo rozpoznana.

Przeszła przez ulicę i czym prędzej oddaliła tą samą drogą, którą tu przysła.

Ale trzy kobiety ruszyły za nią. Wyobraziły sobie, że udało im się ją odstraszyć, i dzięki temu nabrały śmiałości. Słyszała ich drwiny; rzucały oskarżenia, obelgi. I ku przerażeniu Liv przyciągały uwagę innych. Podeszły jeszcze dwie kobiety z pytaniem, co się dzieje. Usłyszała, jak niechlujna z ekscytacją wyjaśnia im, kim była Liv i co zrobiła. Rozległy się okrzyki złości i oburzenia.

A co gorsza, bezrobotni mężczyźni włóczący się po ulicach powymywali nagle ręce z kieszeni i wmieszali się do motłochu. Ich głębokie głosy groźnie dołączyły się do chóru.

Z kobietami Liv mogłaby sobie poradzić. Mężczyźni to coś zupełnie innego. Po raz pierwszy dotarło do niej, że była w niebezpieczeństwie.

Gdyby wróciła do pokoju, dowiedzieliby się, gdzie mieszka. Jej kryjówka zostałaby odkryta. Nie miałyby już schronienia.

Jej jedyną nadzieją było wywieść ich w pole i zakraść się z powrotem do domu pod osłoną nocy.

Serce zaczęło łomotać jej w piersi. Zarzuciła sobie dziecko na ramię, przytrzymała dłonią ciężką, pokrytą meszkiem główkę i puściła się biegiem.

To zaskoczyło śledzących ją ludzi. Udało jej się przebiec za róg, zanim ruszyli w pościg. Potem popędzili za nią.

Nagłe podskakiwanie zaniepokoiło śpiące dziecko, które zaczęło krzyczeć. Potknęła się i prawie upadła, już brakowało jej tchu.

Dudnienie stóp jej prześladowców zbliżało się coraz bardziej. Słyszała ich głosy – wiele głosów – wyli jak psy. Ich ton był pełen dzikości.

Dogonili ją z łatwością. Mężczyzna złapał ją za włosy i odciągnął głowę w tył, boleśnie szarpiąc ją tak, że poleciała na ziemię. Kobiety wyrwały jej dziecko z rąk.

– Mamy cię!

– Co z nią zrobimy? – zapytał mężczyzna ochrypłym głosem.

– Zabierzcie ją na koniec ulicy! – Liv rozpoznała podekscytowany pisk niechlujnej kobiety, która to wszystko zaczęła. – Tam!

– Oddajcie mi moje dziecko – powiedziała Liv. Nagle uświadomiła sobie, jak bardzo kocha to maleństwo. Nie wiedziała tego aż do tej chwili. Zdumiało ją, jak spokojnie zabrzmiał jej głos pomimo desperacji. – Proszę!

– Twoje dziecko trafi do wody – zadrwił mężczyzna – tak jak ty, kiedy już z tobą skończymy.

Liv milczała. Już postanowiła, że nie będzie nic mówić, niezależnie co jej zrobią. O ile tylko oddadzą jej dziecko. Nic innego się nie liczyło. Wytrzyma wszystko.

Zaciągnęli ją na sam koniec ulicy, gdzie z popękanego chodnika wyrastają chwasty, a zabite deskami okna zamykają się na świat.

– Spójrzcie na jej ubrania – zaskrzeczała niechlujna kobieta. – Widzieliście kiedyś coś takiego?

– Zawsze chciałam mieć taką kurtkę – odezwała się inna. – Zdejmijcie ją z niej.

– Ja wezmę spódnice.

– Ja chcę buty.

– Spójrzcie na biżuterię! Możemy ją sprzedać!

– Rozbierzcie ją do naga. Zobaczmy, z czego jest zrobiona.

– Niczego nie podrzyjcie! Chcę jej bieliznę.

Uwaga, za jaką starali się nie zniszczyć jej ubrań, stała w dziwnej sprzeczności z brutalnością, z jaką rozebrali ją do naga na oczach szczerzących się mężczyzn. Ochocze palce rozpięły jej guziki, rozsunęły suwaki i zdjęły bieliznę. Już nie widziała swojego dziecka. Jakaś kobieta zabrała je na tył tłumu, który teraz urósł do dwóch tuzinów. Ale słyszała krzyk niemowlęcia. Na ten dźwięk mleko zaczęło wypływać z jej piersi. Jej postanowienie, żeby zachować spokój, się rozpadło.

– Oddajcie mi ją! – błagała, wyciągając ramiona. – Proszę, oddajcie moje dziecko!

Zignorowali jej błagania. Kiedy była już całkiem naga, okrążyli ją. Mężczyźni gwizdali, a kobiety kłóciły się o jej ubrania i biżuterię.

Ktoś zaproponował niechlujnej, małej kobiecie złotą bransoletę, którą zdjęto Liv z nadgarstka.

– Nie chcę niczego, czego ona dotykała – powiedziała kobieta. – Chcę tylko tego. – Podeszła i uderzyła Liv w twarz. Cios był mocno i precyzyjnie wymierzony.

Liv straciła równowagę i przewróciła się na bruk u stóp tłumu, jej kolana zaczęły krwawić.

Niechlujna mała kobieta odwróciła się do mężczyzn, którzy przestali się śmiać.

– No i? – zapytała. – Na co czekacie? Zróbcie jej to.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

AGNES

Anglia, 1968

– Jesteś tak cholernie idealna – powiedział Bill Dawlish, ale zabrzmiało to jak oskarżenie, nie komplement.

– Nie sądzę, żebym była idealna – odparowała Agnes. – Jestem bardzo świadoma swoich niedoskonałości.

– Ja nie widzę stąd żadnej. – Bill otarł z wąsów pianę z piwa i spojrzał na nią twardo. Wydawało mu się, że czuje wobec niej zarówno pożądanie, jak i urazę.

Wychylał pierwszy kufel do obiadu, zdeterminowany, by przejść do drugiego, a potem może trzeciego, zanim będą musieli wrócić do biura. Pub był zatłoczony dziennikarzami Fleet Street z różnych gazet, hałaśliwie angażującymi się w tę samą gonitwę. Mocne picie podczas lunchu (zwłaszcza w piątki) było czymś, czego Agnes nigdy nie praktykowała, nawet po trzech latach w „The Street”. Jako jedyna nie trzymała piwa w jednej ręce i papierosa w drugiej. Stojąca przed nią mała szklanka piwa imbirowego była bardziej na pokaz i nawet przed wyjściem pozostała w połowie pełna.

Agnes była wdzięczna, że Bill Dawlish w końcu zaprzestał prób zaciągnięcia jej do łóżka. Był przystojnym mężczyzną. Nie miała

chłopaka (co regularnie podkreślał), więc uważał ją za zmarnowaną i, co gorsza, za dziewicę. Na Fleet Street nie było żadnych dziewczyn, co regularnie podkreślał; był gotowy i chętny uwolnić ją od tego brzemienia. Rezultatem jej wielu stanowczych, choć uprzejmych odmów, była jego nieustanna uraza.

– Nikt nie powinien być tak idealny jak ty – mówił dalej. – Reszta czuje się zażenowana z twojego powodu.

Agnes rozejrzała się po zadymionym pubie. Stali bywalcy to byli głównie mężczyźni w średnim wieku, każdy bezspornie miał jakieś wady. Jednak niektórzy byli najbardziej rozpoznawalnymi dziennikarzami swoich czasów i wołałaby, żeby to któryś z nich towarzyszył jej podczas lunchu zamiast Billa Dawlisha. Ale Bill przywarł do niej jak pijawka, najwyraźniej zgodnie z zasadą, że skoro nie mógł jej mieć, to zrobi wszystko, by nie dostał jej nikt inny. Ciężko było się go pozbyć. Jednak kiedy dołączyła do załogi „Evening News”, Bill był jednym z niewielu, który zadał sobie trud, by nauczyć ją fachu – nawet jeśli jego jedyną motywacją było zaciągnięcie jej do łóżka. I była wdzięczna za tę początkową pomoc.

– Patrz – powiedziała – tam siedzi Jill Tweedie.

Bill chrząknął.

– Kolejna działaczka na rzecz równouprawnienia kobiet podążająca za tłumem.

– Och, jest kimś o wiele więcej. Jest taka mądra i sprytna.

– Nie dla mnie. Dalej. Jest piątek. Kupię ci kieliszek wina.

– Nie chcę wina, dziękuję – odparła, ale zignorował to.

Kiedy Bill poszedł do baru, zacisnęła dłoń na szklance piwa imbirowego i obserwowała Jill Tweedie, pogrążoną w ożywionej rozmowie z dwoma kolegami. Miała burzę niesfornych włosów i inteligentną twarz i wydawała się uosobieniem wolności. Agnes chciała być jak ona – wyrafinowaną, lekko drwiącą, zabawną, bystrą feministką. Jednak daleko jej było do wszystkich tych rzeczy. Przy Jill Tweedie czuła się bardzo młoda i niedoświadczona. Zastanawiała się, czy ma w sobie dość odwagi, żeby podejść i się przedstawić, ale

stwierdziła, że jest jednak zbyt nieśmiała. Bill wrócił z kolejnym kuflem i kieliszkiem białego wina i stanowczo postawił go tuż przed nią.

– Wracasz dzisiaj wieczorem do swojej rezydencji? – zapytał.

– To nie rezydencja.

– Bardziej niż *mój* dom. Przecież nie *musisz* pracować, prawda?

To był kolejny temat, który – jeśli pozostawał nieomówiony – prowadził do zarzutu, że wcale nie była prawdziwą dziennikarką. I dlaczego w ogóle bawiła się w pracę, skoro inni ludzie pozostawali bezrobotni?

– Oczywiście, że muszę pracować – odpowiedziała energicznie. – Nie jestem bogatą kobietą.

– Będiesz, kiedy ten twój dziadek umrze.

– To naprawdę podłe. A poza tym wszyscy powinni pracować, bogaci i biedni.

– Czy praca nie jest dla was okropnie *uciążliwa*? – Uśmiechnął się szyderczo. – Och, czekaj. Wierzysz w szlachetność pracy, prawda? Przedstawicielka najnowszej klasy zamożnych, utytułowanych socjalistów.

– Dobrze wiesz, że nie mam tytułów i nie jestem socjalistką. Co wprowadziło cię w tak nieprzyjemny nastrój?

Opróżnił połowę kufła jednym haustem i wytarł usta.

– Fakt, że jesteś tak ostentacyjnie blondwłosą, wystrzegającą się alkoholu, niebieskooką, niedotykalską dziewczyną.

– Znowu do tego wracamy?

– Pracuję w tym zawodzie o pięć lat dłużej od ciebie. Ale *ja* nigdy nie zostałem poklepany po głowce i nazwany bystrym chłopcem. To niesprawiedliwe.

Więc o to chodziło. Bill podsłuchał, jak redaktor Kennard Coleridge chwalił ją tego ranka za artykuł, który napisała. Było jej trochę żal Billa.

– Cóż, jestem nowa, jak już powiedziałeś. Potrzebuję zachęty. Ty masz dużo więcej doświadczenia, więc jej nie potrzebujesz. Dałeś radę, Bill.

Norwegia, rok 1940. Zafascynowana nazistowską propagandą Liv decyduje się współpracować z niemieckim dowództwem, gdy wojna ogarnia jej kraj. Kobieta ma coś niezwykle ważnego dla Berlina, ale cena, jaką przyjdzie jej zapłacić, będzie niewyobrażalna. Czy uda jej się przeżyć konsekwencje wyborów podjętych w młodości?

Anglia, rok 1968. Agnes, osierocona podczas wojny, dorastała w spokojnym luksusie angielskiej wsi, wychowana przez ukochanego dziadka na idealną damę. Kiedy jednak Barbar nagle umiera, dziewczyna odkrywa przerażający sekret, który burzy jej świat. Agnes nie jest tym, za kogo się dotąd uważała – i nie jest bezpieczna. Czy znajdzie odwagę, by odkryć skrywane prawdy, ryzykując własne życie?

FILIA

cena 49,90 zł

ISBN 978-83-8402-164-4



9 788384 021644